

wieć się na podwórzu, wesoło wykrzykując. Ukażała się młoda dziewczyna jasnowłosa, wyglądająca bardzo skromnie, z twarzą łagodną i uśmiechniętą. Trzymała w ręku piłkę, którą rzuciła dzieciom; dzieci z głośnym krzykiem i śmiechem podskoczyły ku piłce.

— To ona — pomyślał Varnier.

Posunął się wzdłuż płotu i dotarł z tyłu domu do krętej ścieżki, którą zamykała, w cieniu gąszcza bzów, tworzących altankę, mała baryerka. Varnier gwizdnął cicho dwa razy, raz za razem, a w kilka sekund później gwizdnął po raz trzeci. Dama w starszym wieku wyjrzała z jednego z okien. Czwarte gwizdnięcie. Wtedy zeszła po stopniach ganku i podeszła do altanki. Twarz jej blada i smutna pod niobami siwych włosów wyrażała wielki niepokój. Nazbyt tęga, stąpająca ciężko, pomimo ubioru damy, miała w swej powierzchowności coś trochę pospolitego. Oczy jej jednak miały wyraz nieskończonej pocziwości.

— To ty, panie Varnier?

— Ja, pani Ernemont.

— Więc stoi na tem?

— A jakże, koniecznie... o szóstej... Panienska niczego się nie domyśla?

— Niczego. Bawi się z uczniami.

— Tak, widziałem. A pani jest pewną, że ona tam pójdzie?

— Gdy tylko uczennice wrócą do klasy, ona tam pójdzie, do Zacisza. Ma się zejść z panią o piątej, tak samo jak wczoraj i jak przedwczoraj.

— Dobrze, ale czy będzie wracała koło stawu?

— Niezawodnie. Będą spacerowały razem, tak jak zwykle bywa. Ale już dosyć gadania, skoro wszystko umówione.

— Pani wie, że z naszym panem to we wszystkim trzeba dokładności.

— Niech pan ucieka. Genowefa mnie woła.

Pani Ernemont spiesźnie wróciła do domu. Panienska istotnie szukała jej.

— Co ty robisz babuniu? Zapominasz, że to już czas na naszą herbatkę.

— A twoje uczennice?

— Dostaną podwieczorek w ogrodzie, pod opieką Karoliny.

— Ufasz Karolinie?

— Najzupełniej — a zresztą nicby mnie nie powstrzymało od wypicia herbaty z tobą o naszej zwykłej godzinie. Toż to jedyna chwila, gdy możemy być ze sobą.

— Pocziwa jesteś, moje drogie dziecko!

Stół był nakryty w małym saloniku od frontu, obok szkolnego pokoju.

Zasiadły i gawędząc, jadły podwieczorek.

— Wiesz, o czym ja myślę, babuniu?

— No powiedz...

— Myślę o tej biednej pani, którą znów zobaczę w Zaciszu.

— O pani Kesselbachowej?

— Tak. Ty nie masz pojęcia, jaka ona smutna. Bardzo kochała męża. A ta śmierć okropna... Wiesz, jeszcze nic nie odkryto. Czytałam o tem w dzienniku. Czy ty myślisz, że pan Formerie jest bardzo inteligentny?

— Dlaczego o to pytasz?

— No co! Już prawie tydzień, jak ma w ręku czterech współników Lupina i tyle wie, co w pierwszym dniu.

— Co chcesz? Milczą, jak zabici.

— Trzeba ich rozgadać! Nawet nie dowiedli tożsamości Marca i jego służącej. Pochwycili jakiegoś chorego... ten im się z rąk wyslizguje i nic nie wiedzą — ani jego imienia, ani co go wiąże z bandą, ani nic! Doprawdy, ten Lupin tak ich nabiera!

— Tak mówisz, jakbyś go podziwiała!

— O, ani trochę! Przeciwnie, przyznaję, że mnie razi cała ta ciągła gadanina o nim. Znajduję, że to jest wprost niemoralne. Ludzie zachwycają się nim, jak gdyby był jakim bohaterem. A to złodziej po prostu i to złodziej najgorszej kategorii, bo nawet nie można powiedzieć, że kradnie z potrzeby, z biedy!

— Tak, niepodobny do innych...

— Och, już wiem, już znam tę bajeczkę... Wspinałomyślny, rycerski, szlachetny, uprzejmy, stojący w obronie uciśnionych, Don Kiszot jakiś!... Wszystko blaga, babuniu! Złodziej — i tyle!

Mówiła dalej. Każde jej słowo, każdy ruch oparty, szczerość spojrzenia — wszystko znamięnowało naturę zdrową, poważny pogląd na życie. Chociaż tak młoda — kończyła lat ośmnaście — okazywała w sądach i w poglądach wiele rozumu, równowagi i logiki; a jednak poważne te zalety nie ujmowały jej ani dobrego humoru, ani dziecięcej naiwności, ani radości życia.

Podnosząc się, dodała:

— A zresztą, gdy się pomyśli o rozpaczach pani Kesselbach, gdy się widziało, tak jak ja, jej biedne, łzami zmęczone oczy, trudno zdobyć się na pobłażliwość.

— Biedna ta pani! Czy ona była uprzejmą dla ciebie?

— Więcej niż uprzejmą, serdeczną była dla mnie.



Na ziemi leżał zgrabny sztylet.

— Swoją drogą odważną byłaś, żeś poszła do niej z wizytą i prosiłaś ją o pieniądze na twoją szkołę.

— Musiałam... chcąc przyjąć więcej uczennic.

— I myślisz, że ona przyjdzie ci z pomocą?

— Ma mi teraz odpowiedzieć... to też za nic nie chciałabym się spóźnić. Zaprowadzę małe do pokoju i pójdę.

— A przedewszystkiem nie zapomnij. Genowefo, że masz wrócić punktualnie o szóstej. Masz się widzieć z rodzicami kilku uczennic. Jeżeli nie przyjdiesz, będę ich musiała odprawić.

— Bądź spokojna, babuniu!

Poszła ku drzwiom i chwyciła za klamkę.

— Co to? — rzekła. — Drzwi się nie chcą otworzyć. Co się to stało?

Starsza pani spróbowała, lecz także na próżno.

— A to coś nowego... to tak, jakby były zamknięte...

Genowefa nachyliła się.

— Ależ tak, babuniu! spojrzysz na zamek. Przekrecono klucz z drugiej strony, podczas gdyśmy rozmawiali.

— Ależ ktoby... niepodobna... Byłybyśmy usłyszały.

— Ostatecznie, babuniu, jesteśmy uwięzione!

— No proszę! Cóż to ma znaczyć?

Starsza pani kręciła się po pokoju, poruszona, Genowefa śmiała się serdecznie.

— Jakie to zabawne, babuniu! Czemu się nie śmiesz, babuniu? Trzeba się zawsze śmiać, kiedy nam ktoś figla spiata!

— Żartujesz! A któżby sobie pozwolił?

— Tego ja nie wiem. Ale to musi być żart, gdyż wystarczy mi otworzyć to okno i zawołać...

— Twoje uczennice są na łączce na lewo od podwórza...

— Jeżeli one nie dosłyszają, wyskoczę i obiegę dokoła, żeby cię wypuścić.

Zbliżyła się do okna i nagle odskoczyła.

Szyba rozprysła się w kawałki i coś wpadło do pokoju, odbiło się o ścianę i potoczyło się po podłodze. Był to kamyczek.

— Jakiś papierek babuniu! — zawołała Genowefa — jakiś kawałek papieru, przywiązany sznurkiem!

Rozwinęła go. Na papierze widać było kilka wyrazów, nakreślonych tłustym, niezgrabnym piśmem. Genowefa czytała:

„Niech pani nie idzie do stawu. Grozi tam niebezpieczeństwo“.

Pani Ernemont szybko podbiegła ku młodej dziewczynie i objęła ją w ramiona.

— To prawda, moje kochanie, to prawda. Czemuż byś tam miała iść? Nie chodź tam lepiej. Ta osoba, która to pisze, dobrze wie, co mówi. Nie chodź tam, proszę cię... Nie chodź tam! Genowefa spojrzała na nią bardzo zdziwiona.

— Ależ sama dziesięć minut temu zupełnie co innego mówiłaś!

Staruszka zająknęła się:

— Prawda; ale widzisz, że jest niebezpieczeństwo, skoro cię przestrzegają...

— Ależ babuniu, to dalszy ciąg tego samego figla. Czyż spacer za białego dnia może być niebezpieczny? A zresztą, czyż mi kto źle życzy? Wszyscy są dla mnie tak dobrzy!

Siadła na oknie, zesunęła się pomiędzy kwiaty rabatki i powróciła przekręcić klucz.

— Nie bardzo groźne to nasze uwięzienie, nieprawdaż babuniu? A jednak chciałabym wiedzieć...

Zapytała służącą. Ta jednak nie wychodziła z kuchni, a stamtąd niczego podejrzanego nie widziała, ani nie słyszała. Poszła do swoich uczennic na łączkę i wypytała Karolinę, przyjaciółkę swą i pomocnicę; i ta także nie umiała jej objaśnić.

— Mniejsza z tem — rzekła — tajemnica wyjaśni się prędzej czy później!

Genowefa zaprowadziła dzieci do szkolnego pokoju, dała różne zlecenia Karolinie, poszła do siebie, włożyła kapelusz i powróciła do pani Ernemont.

— No i cóż babuniu, uspokoiłaś się nareszcie?

— Ależ naturalnie, moje dziecko.

Niemądra byłam... Ten kamyk... ten głupi list...

— A więc już mogę iść?

— Trzeba nawet, żebyś poszła, kochanie. A przede wszystkim bądź punktualną... O szóstej tu, z powrotem.

— Naturalnie, naturalnie... Do widzenia babuniu!

— Do widzenia, drogie dziecko! No pocałuj mnie jeszcze raz... mocniej, kochanie.

— Co ci jest babuniu? Wyglądasz wzruszona...

— Nie, gdzież tam, kochanko! Idź... i pamiętaj... szósta godzina... punktualnie.

II.

Pawilon, który pani Kesselbach zamieszkiwała w Zaciszu, znajdował się w samej głębi ogrodu. Przed nim leżały trzy inne pawilony tej samej wielkości i budowy, które dyrekcyja wynajmowała paniom, chcącym zupełnie na uboczu mieszkać, zdala od innych pensjonarek zakładu.

(Ciąg dalszy nastąpi).